

ALICIA
VANDEROS

Piloci



Piloci

Kazik Górski i Jasiek Nowak, główni bohaterowie powieści **Piloci**, są młodymi mężczyznami i świeżo upieczonymi pilotami. Przyjaźnią się, pracują razem, są szczęśliwi, a ich marzenia i pragnienia spełniają się. Nie wiedzą jednak, że za chwilę ich życie wywróci się do góry nogami! Na swojej drodze spotkają bowiem młodą dziewczynę o imieniu Kinga. Czy ta historia ma szansę na happy end? W najnowszej powieści Alicii Vanderos nie brakuje braterskiej przyjaźni, namiętnej miłości z nutką erotyzmu, a także wyrafinowanych intryg, a nawet... morderstwa! Jak potoczą się losy trójki młodych ludzi targanych skrajnymi emocjami?



ALICIA VANDEROS

urodziła się w 1953 roku w Warszawie. Od ponad czterdziestu lat żyje za granicą. Z zawodu stewardessa pokładowa Polskich Linii Lotniczych LOT. Jest kobietą biznesu z artystyczną, wrażliwą duszą. Na co dzień mieszka w Szwecji, gdzie czerpie z życia pełnymi garściami, a jej książki są na to dowodem. Odwiedziła wiele egzotycznych zakątków świata, które stały się dla niej inspiracją do tworzenia kolejnych historii. Debiutowała w 2020 roku powieścią z wątkami biograficznymi **Róże jak motyle**, a następnie w roku 2022 wydała kolejną książkę – **Błędy**.

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl

**Sorus**

ALICIA
VANDEROS

Piloci


Sorus

Redaktorka prowadząca
Klaudia Tomaszewska

Redakcja
Izabela Dachtera-Walędziak

Projekt okładki
Marcin Dolata

Skład
Maciej Torz

Copyright © by Alicia Vanderos 2023
Copyright © by Sorus 2023

Wydanie I, Poznań 2023

ISBN 978-83-67139-82-3 e-book

Wydaj z nami swoją książkę!
www.sorus.pl/formularz-zgloszeniowy/

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja
DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

Rozdział 1

Zbliżały się żniwa. Tego gorącego dnia Kazik Górski leżał na soczystej trawie, żując łądygę różowo-liliowej koniczyny. Lipcowy upał dawał się we znaki. Patrzył w górę, wysoko, w błękitne niebo i liczył białe, puszyste jak baranki chmurki.

Obok na łące pasły się krasule, chrupiąc apetycznie zielsko. Kazik westchnął, a potem przeciągnął się. Nic nie zakłócało jego spokoju. Słuchał, jak żyto szumi na wietrze. Lato grzało upałem, a pola pachniały nieskoszonym zbożem.

– Uwielbiam ten spokój! – rzekł do siebie. Co i rusz tylko brzęczała nad nim pszczoła, która następnie sadowiła się na którymś z czerwonych maków. Te bujały się na wszystkie strony na długich, cienkich łądygach. Po chwili pszczoła zsuwała się głębiej, do środka kwiatka, aby smakować jego nektar.

Zajęte i zapracowane owady fruwały z maków na niebieskie chabry, żeby potem, będąc sytymi, odfrunąć.

– Piękna jest Polska i polska wieś, uwielbiam tu być, to moje miejsce na ziemi, moja ojczyzna, mój dom! – szeptał Kazik. Leżąc, głaskał dłonią pachnącą, soczystą trawę. Mrużył oczy, patrząc wysoko w błękitne niebo, teraz bez jednej chmurki.

Ptaki trzepotały głośno skrzydłami, nadlatując, wirowały nad łąką, ćwierkały radośnie, wyłuskując ziarna gotowego do skoszenia zboża. Śpiewały wesoło, podskakując, rozglądając się, czy nie ma w pobliżu chętnego ukraść im trzymaną w dziobku zdobycz.

Kazik lubił spokój i naturę. Dużo rozmyślał nad przyszłością. Miał jedno ogromne marzenie i dojrzał do tego, aby o nim opowiedzieć. Nadszedł czas.

Właśnie skończył studia prawnicze z oceną zadawalającą najbardziej rodziców. Był zdolnym studentem, lubianym przez kolegów oraz profesorów, którzy wróżyli mu wspaniałą przyszłość w sądzie albo w jednej z rodzinnych kancelarii adwokackich. Ale świeżo upieczony mecenas miał własny plan, który dotąd skrzętnie ukrywał przed wszystkimi.

*

Doskonale pamiętał święta Bożego Narodzenia, Wigilię i choinkę w domu rodziców, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Wtedy dostał prezent, niechciany, kłopotliwy, byle jaki prezent, który ojciec podarował mu w ostatniej chwili, bo zapomniał kupić coś innego, lepszego. Zapomniał, tak – zapomniał! Ojciec wybiegł do pobliskiego kiosku, który już prawie zamykali i kupił mu model do sklejania. Kazik jednym ruchem ręki zrzucił go na podłogę, aż małe kawałki wysypały się z pudełka.

A potem płakał, siedział na łóżku i płakał, wydawało mu się, że w nieskończoność, że przez wieki. W końcu je pozbiierał, a następnego dnia usiadł i zaczął sklejać. Jeszcze zły i nadęty, ze łzami w oczach. Klej brudził mu palce, które potem nie chciały się odkleić od małego modelu samolotu.

Willa państwa Górskich była jedną z najbardziej okazałych na warszawskim Mokotowie. Trochę przyszarzała i schowana za wysokimi kasztanowcami sprawiała wrażenie twierdzy nie do zdobycia, z kolumnami przy wejściu oraz ogromnymi oknami, które zaciaśniały żaluzje.

Pamiętał, że zawsze kiedy stawał w oknie swojego pokoju na pierwszym piętrze, podziwiał rozległy ogród, a raczej sad pani mecenas, czyli własnej matki. Halina Góraska razem z mężem prowadziła kancelarie adwokackie, chętnie też wchodziła w rolę gospodyni wielkich przyjęć organizowanych na tarasie ich ekskluzywnej posiadłości. Szerokie, marmurowe schody wtapiały się w ogród stopień za stopniem. Na krańcu posiadłości pobłyskiwała fontanna, szumiąc delikatnie wodą. Wyrzeźbiona z marmuru kobieta trzymała ogromny dzban z wodą, którą powoli wylewała do fontanny. Najlepszy efekt był wieczorem, kiedy oświetlona, kamienna figura dorosłej, gołej piękności sprawiała wrażenie autentycznej postaci. Można było odnieść wrażenie, że trafiło się do raju lub na kartki którejś z romantycznych powieści.

– To jest mój raj, proszę państwa, zobaczcie, podziwiającie! – Mecenas Halina Góraska wodziła ręką po ogrodzie. – Widzicie? Co prawda bez kwiatów, ale za to z drzewami owocowymi dookoła! – Chwaliła się na przyjęciach z kieliszkiem drogiego, wytwornego szampana w ręce. Głęboki dekolt w przesadnie krótkiej sukni pokazywał duże piersi Haliny, a na jej tęgich udach uwidaczały się przedwczesne rozstępy. Pani mecenas śmiała się wulgarnie, chwając się od nadmiaru wypitego alkoholu. Ten co chwila wylewała na siebie i na marmurową posadzkę tarasu.

– Mój własny raj z jabłkami, ha, ha, ha... Ojczystymi owocami... naszymi, krajowymi. Widzicie? Nie wiem tylko, gdzie schował się Adam! Gdzież on się podział? – Halina chwiała się na nogach, zaglądając pod drzewa.

Podchmielone towarzystwo wtórowało Halinie Górskiej, bo jak inaczej. To przecież oni, Górscy, mieli pieniądze, status, sławę. Gruby facet, jeden z zatrudnionych u Górskich, rechotał jak żaba, a stojąca obok dziewczyna najprawdopodobniej była jego kochanką, a nie żoną. Miała na sobie długą, zapewne drogą, maksymalnie dopasowaną, czarną suknię. Była przy tym chuda jak patyk i płaska jak deska. Suknia z dekoltem aż do pępka nie uwydatniała nic szczególnego poza sterczącymi aż nadto dużymi, ciemnobrązowymi brodawkami. Jedno ramięczko sukni bezlitośnie opadało do połowy ramienia dziewczyny, obnażając ją prawie. Z ostrym makijażem na twarzy, grubo wymalowanymi czarnymi, wytuszowanymi powiekami i sztucznymi, długimi rzęsami, dobrze wstawiona, bujała się na ponad dziesięciocentymetrowych obcasach. Gdyby mocniej zawiało, z pewnością została by zdmuchnięta z tarasu w głąb sadowego raję, co prawda bez Adama, ale zawsze.

Reszta towarzystwa napełniała kolejne kieliszki po same brzegi, chociaż wszyscy mieli już porządnie w czubie. Młode dziewczyny, młodsze od swoich adoratorów o przynajmniej dwie i pół dekady, umilały im wieczór, siadając na kolanach. Im, czyli adwokatom, bogatym i podstarzałym, z siwym zarostem na twarzach, siwymi, kędzierzawymi lokami na klatce piersiowej i z potarganymi, również siwymi włosami na półłysych głowach. Naturalnie wszyscy gustowali w garniturach od Bossa i jedwabnych krawatach, co sprawiało wrażenie, że wyglądali prawie jak bliźniacy. A one, młode i piękne, trzymały swoich partnerów za szyje w obawie, że zniknie ktoś tak ważny, wpływowy, z wypchanym portfelem. Więc z ogromnymi, silikonowymi piersiami, ruszając powiększonymi ustami, całowały ich namiętnie, siedząc okrakiem na kolanach, pokazując przez przezroczyście tkaniny sukien swoje

młode, dziewczęce ciała i brzegi gołych pup. Nie wahały się w zamawianiu kolejnych drinków, pijąc je szybko, bez zastanowienia.

Kazik spojrzął raz jeszcze w dół. Popołudniowa cisza spowijała ogród i dom. Ale on nie czuł się spokojny i opanowany, czekała go rozmowa z ojcem, Tadeuszem Górskim, zwanym potocznie Tedem.

Ted był królem mecenasów. Energicznym, przystojnym, wysokim facetem z błyskiem w dużych, brązowych oczach i długimi, sięgającymi prawie do ramion, szpakowatymi włosami. Niebywale inteligentny, nadzwyczaj zdolny i pewny siebie adwokat. Szybko zdobył popularność, a jego zdolną głowę wypełniały nie tylko paragrafy. Dobra ręka do biznesu zaowocowała pełnymi kontami w bankach krajowych i zagranicznych.

Chłopak dalej stał w oknie. Próbował znaleźć słowa, jakimi przekona ojca, że adwokat to profesja nie dla niego. Ma inne marzenia. To matka zmusiła go do skończenia studiów. Zawsze podporządkowana mężowi, widziała syna w todże obrońcy, jako przedstawiciela trzeciej generacji prawniczego rodu Górskich.

O godzinie dziesiątej miał spotkać się rodzicami w jadalni na kolacji. Odszedł od okna. Nałożył ciemną marynarkę, poprawił krawat, jednym ruchem zaczesał do tyłu szatynowe włosy, teraz trochę pojaśniałe od słońca. Podszedł do drzwi, uchylił je. Odwrócił się i spojrzął jeszcze raz na pokój, w którym spędził dzieciństwo i wczesną młodość, na gablotę z trofeami za dobrą grę w tenisa. Wypucowane puchary błyszcząły, stojąc jeden przy drugim. Dotknął największego, w kolorze złota. Pamiętał ten mecz i zaciętego przeciwnika. Ale to on zwyciężył. Kazimierz Górski. Uśmiechnął się do siebie. Po chwili jego uwagę zwróciły inne eksponaty. Patrzył i podziwiał je, prawie dumny z siebie, że zdecydował się porozmawiać z rodzicami o swojej przyszłości.

W gablocie za szkłem stały modele samolotów z plastiku. Dbał o nie i kolekcjonował wszystkie pieczołowicie. Otworzył szklane drzwi. Wyjął jeden z nich, mały, biały samolocik, trochę krzywo skleiony, niezdarnie pomalowany, z zaschniętymi zaciekami kleju na niektórych łączeniach. Pamiętał dokładnie, kiedy dumny posklejał wszystkie kawałki. Ten mały samolocik nie prezentował właściwie nic nadzwyczajnego, ale dla niego był przyszłością, niewypowiedzianym pragnieniem.

Duży zegar w holu wybił właśnie dziewiętnastą. Kazik zszedł po schodach do jadalni, gdzie już czekali rodzice.

Rozdział 2

Pokój stołowy wychodził na ulicę i bramę wjazdową. Na miedzianej tablicy dobrze wypucowanej na złoty kolor, tuż przy przycisku do dzwonka, wygrawerowano: Mecenas Halina Górską, a poniżej: Mecenas Ted Górski. Może Ted przesadzał, obnosząc się z tym zdrobieniem, ale skończył dwa lata studiów w USA, co według niego uprawniało go do posługiwania się imieniem Ted, wrzucania angielskich słówek i wypowiedziania ich z amerykańskim akcentem. Myślał może, że w ten sposób doda sobie więcej splendoru. Zresztą kto wie, co myślał mecenas.

Długi stół z mahoniem na dwanaście osób pokrywano zwykle białym, wykrochmalonym obrusem obszytym koronkami, na którym ustawiano dobrej klasy chińską porcelanę, każdego dnia, bez wyjątku. Bez oszczędzania i chowania po szafkach. Kazik nie lubił tego stołu, bo ojciec siedział na jednym krańcu, matka na drugim, a on pośrodku. Musiał podnosić głos, aby być słyszany. Zresztą w tym pokoju zawsze, mimo kominka i palącego się drewna, panowała chłodna atmosfera, przeplatana dźwiękiem sztuców stukających w talerze z cienkiej jak pergamin porcelany. Czasami zamawiano kwartet, który przygrywał do posiłków, ale tylko wtedy, kiedy ojcowskie i matczyne wiele znaczące w interesach znajomości gościły na kolacji.

Nad kominkiem wisiał dużych rozmiarów olejny obraz przedstawiający mężczyznę z brodą i wąsami w uniformie generalskim sprzed kilku epok. Nikt dokładnie nie wiedział, kim był sportretowany jegomość, ale po kilku wódeczkach Ted twierdził, że to jego dziad zdaje się... albo pradziad. Oczywiście wierzono Tedowi w opowieści o zacnych przodkach wywodzących się z generalskiej arystokracji. Gościom imponowała klasa, styl i pieniądze państwa mecenasów Górskich.

– Wspaniała historia, Ted, generalicja i szlachta. Proszę, proszę, co za fantastyczna przeszłość! Do pozazdroszczenia! – Zawsze któryś z gości, zachłystując się wszystkim dookoła, przymilał się w ten sposób do państwa Górskich, oczekując następnego zaproszenia.

Halina uśmiechała się wtedy skromnie, przytakując:

– Tak, tak... oczywiście... znakomita historia rodzinna... wspaniali ludzie... niezwykle!

Potem podnosiła dumnie głowę i kieliszek, aby wznieść toast za męża i jego przodków.

– A ty, Halino, jesteś taką wspaniałą kobietą i gospodynią! Już nie wspomnę, jakim adwokatem. Do tego wszystkiego, co za wyśmienite dania, jakie wspaniałe receptury! – piszczła z zachwytem jedna z koleżanek Górskiej, prostując przesadnie chude plecy. Jej kręgosłup w głęboko wykrojonym dekolcie z tyłu sukni wyglądał jak sznur pereł zawieszonych od karku w dół. Grzebała przy tym w talerzu, postukiwała nożem, oblizując się smakowicie i zlizując resztki czerwonej szminki. Potem był następny toast i następny... Szampan lał się do rana.

*

– Witam, witam, Kazimierzu, jak dobrze, że nareszcie pojawiłeś się w domu! – Ojciec, wstając od stołu, rozłożył ramiona, chcąc przytulić syna.

– Nareszcie, Kaziczku, tak bardzo tęskniliśmy za tobą! – Halina ze łzami w oczach witała syna. – Boże, kiedy tu byłeś ostatni raz! – komentowała. – Jaki dżentelmen z ciebie wyrósł, aż miło popatrzeć! – Stała kilka kroków dalej, podziwiając syna.

Kazimierz studiował w Londynie, a wakacje najczęściej spędzał u dziadka na wsi. Właściwie to nie miał za wiele czasu na spotkania z rodzicami, a i oni mieli mało czasu dla niego. Kontakty były okazjonalne i przez telefon.

– Chodź do biblioteki! – zapraszał ojciec. – Usiądźmy i porozmawiajmy.

Matka usiadła na pluszowej, beżowej kanapie, pałac papierosa za papierosem, wkładając go najpierw do miodowego koloru lufki, a kryształową popielniczkę stawiając obok siebie na jednej z poduszek kanapy. Wyglądała jakoś tak blado, uczesana w kok jak zwykle, ale teraz posiwiały i pozbawiony blasku. Na sobie miała czarną spódnicę, za krótką, bo do połowy uda i żakiet chanel, a pod nim jedwabną, czarną bluzkę zawiązywaną na kokardę pod szyją. Kazik spojrział na matkę jeszcze raz i wydawało mu się, że w tych ciemnych kolorach i szarych włosach wygląda staro i żałośnie. Zrobiło mu się jej żal.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie i niezdecydowanie, jakby w ogóle nie miała mu nic do powiedzenia w dyskusji, która za chwilę miała się zacząć.

Ojciec za to siedział dumny jak paw, rozparty jak król na tronie, usadowiony za swoim biurkiem, z dumą i pychą na twarzy spoglądał na syna. Po obu stronach biurka piętrzyły się stosy papierów, akt prawnych i grubych ksiąg z paragrafami. Kazimierz wiedział, że plotki o ojcu, które kiedyś słyszał, nie były tylko plotkami. Zdradzał matkę z coraz to młodszymi kochankami. Niejedna kobieta przewinęła się

przez ręce Teda, co nie pozwalało matce patrzeć na świat z podniesioną głową. Jej mąż miał ogromny apetyt na życie i połykał wszystko, co dawało mu pieniądze, satysfakcję i seksualne zaspokojenie.

Z wiekiem Halina zrobiła się niepewna, przygaszona, chociaż wcześniej to ona błyszczała na pierwszych stronach gazet i w biuletynach sądowych. Zniszczyły ją jego zdrady, zabawy na przyjęciach i orgie z młodymi prawniczkami, którym obiecywał gruszki na wierzbie i wielką karierę. Ponadto nie gardził gosposiami w ich własnym domu, stawiając Halinę w bardzo złym świetle jako adwokatkę, żonę i matkę.

– Zrób mi drinka, Ted, podwójnego! – rozkazała Halina.

Ted posłusznie podniósł się ze swojego tronu za biurkiem, by zrobić żonie mocny dżin z tonikiem, a sam nalał sobie whisky. Po kilku łykach kobieta jakby wróciła do siebie i zaczynała odzyskiwać pewność.

– Co chciałeś nam powiedzieć, Kazimierzu, czekamy na ciebie w naszych kancelariach, może otworzymy jedną lub dwie za granicą...

– Halina wyraźnie się rozmarzyła. – Trzecia generacja wziętych adwokatów Górskich. To byłoby coś. Zaczniemy jeszcze lepiej prosperować. Szkoda, że dziadek wycofał się z zawodu, wybrał wieś, konie, a ty?

W pokoju zapanowała cisza. Jedyne matka brzęczała lodem w prawie pustej szklance.

– Nie będę pracował jako adwokat. Zmieniłem zdanie. Chcę robić coś zupełnie innego! – odważył się odpowiedzieć jednym tchem.

Ojciec spojrzał na niego groźnie.

– Co to za jakieś dzikie wybryki, Kazimierz! – Ted podniósł ton i nastroszył się jak kogut.

– Zrób mi jeszcze jednego drinka, o tej samej mocy – dorzuciła szybko Halina, przerywając ciężką atmosferą.

– A więc... – Kazik podniósł nagle głos, co było nie do pomyslenia przy ojcu. – Nie będę pracował jako adwokat. Planuję zostać pilotem! Pamiętasz, ojcze, tę nieszczęsną zabawkę, którą dałeś mi ponad dwadzieścia lat temu pod choinkę? Pamiętasz? To ona obudziła we mnie nowe pragnienia i marzenia. Pamiętasz ten samolot z kawałków, który sklejałem i płakałem, bo wcale go nie chciałem, a ty zapomniałeś o mnie, o prezencie, i rzuciłeś mi pierwszą lepszą rzecz, jaka wpadła ci w ręce, bo byłeś taki zajęty... – Chciał dokończyć „flirtowaniem ze służącą na schodach w piwnicy”, ale powstrzymał się ze względu na matkę.

Ojciec zapalił papierosa, nawet nie spojrzął na syna, w końcu dobrane pamiętał seks z szesnastoletnią, tęgą dziewczyną z ogromnym biustem, zwaną „grubą Bubą”, jak wdzięczył się do niej, jak biegał za nią po schodach nago, chcąc zdążyć do łóżka, myśląc, że nikt ich nie widzi. A ona myślała, że to, co jej obiecywał w sypialni, spełni się, że zrobi z niej gwiazdę telewizji, że wkręci ją do filmu, że będzie artystką, piękną, sławną i bogatą. Była zawsze gotowa na zachcianki bogatego, wpływowego, z szerokimi znajomościami pana mecenasa. A że trochę seksu? Lubiła to. Wierzyła we wszystko, co do niej mówił. Piwnica i strych stały się miejscem ich seksualnych wyczynów, a często i łóżko mecenasowej, kiedy ta wypoczywała w Ciechocinku lub na Riwierze Francuskiej.

Ted miał temperament młodego, dzikiego ogiera i nauczył ją wielu różnych sztuczek, które przypadły jej do gustu. Bo przecież był jej pierwszym mężczyzną. Czasami wpadała do nich koleżanka Buby, bo mecenas lubił większe towarzystwo. Wrzeszczeli i śmiali się, a potem jęczeli w sypialni we troje, jakby to były ich ostatnie chwile. Kazik widział ich tego dnia w uchylonych drzwiach, w których stał jak dziś. Pamiętał ojca goniącego za służącą po schodach, nagiego, dzikiego, ryczącego jak zwierzę. Stał sam i płakał.

– Ach... to tak, synu. Całe lata studiów zmarnowane, nie wiem, co powiedzieć!

Ted siedział podenerwowany. Bał się, nie wiedział, ile syn wie o jego romansach. Podejrzał, że sporo i nie chciał, żeby wyszły na jaw. Obawiał się, że Kazik w złości zdradzi jego tajemnice, więc wołał mieć się na baczności. Chodziło mu najbardziej o niecenzuralne zabawy pod rodzinnym dachem z niepełnoletnimi dziewczynami. O innych zabawach Halina wiedziała i ledwo, ledwo, ale je tolerowała. Być może, gdyby wiedziała, że sypia z dwoma dziewczynami w jej łóżku, wystąpiłaby o rozwód. Robiąc to, prawdopodobnie zrujnowałaby go.

– Może przejdźmy do jadalni, już pora na kolację! – wtrąciła Halina, idąc w kierunku barku, by nalać sobie potrójną wódkę. Miała już czerwone rumieńce na twarzy i powoli zaczęła rozwiązywać kokardę przy bluzce.

Kazimierz wstał przestraszony. Nigdy nie widział matki pijącej tyle alkoholu. Martwił się o nią.

– Myślę, że nie jesteś na mnie aż tak zły – rzucił Ted, akcentując drugą część zdania. – Kazimierzu, starałem się, czasami może mi nie wychodziło, ale nie chciałem źle. Zrozum mnie, synu! – dokończył, wbijając wzrok w podłogę.

– Nie jestem zły, tato, ale postanowiłem pójść inną drogą, niż ta, którą dla mnie zaplanowałeś – odpowiedział pewnie Kazik.

Na twarzy Teda widać było zakłopotanie i niezadowolenie. Jego syn chciał zostać pilotem i to on się do tego przysłużył. Był na siebie zły. Nie czuł się swobodnie w obecności stanowczego młodego człowieka.

Tydzień później Kazik opuścił dom rodziców, który właściwie nigdy nie był jego domem. Wyruszył na południe Polski. Miał ważne spotkanie.

Rozdział 3

Kim była Halina? Halina Górská jako młoda dziewczyna miała oczy błękitne jak niebo. Włosy w kolorze bursztynu nosiła zawsze długie i upięte w kok. Nie lubiła, kiedy plątały się między kartkami książek. Czasami zakładała na nos okulary, ale tylko czasami, głównie do czytania, kiedy oczy męczyły się od prawniczych tekstów. Była wysoka jak modelka, chociaż figurę miała tylko od talii w górę. Dół psuły dosyć tęgie i grube nogi. W lecie zakładała kapelusze z dużymi rondami. A miała ich pod dostatkiem – do każdego fasonu i koloru sukienki czy garsonki. O spodniach w garderobie Haliny nie było mowy, chyba że na wycieczce do Zakopanego albo w długiej, samochodowej podróży na tak lubianą Riwierę Francuską. Mimo pewnych niedostatków dziewczyna zawsze cieszyła się dużym powodzeniem u płci przeciwnej, wszyscy ją lubili – czy to na studiach, czy już później w pracy.

Rodzina Haliny należała do zamożnych, a zajmowała się sprzedażą artykułów kolonialnych w kilku sklepach w mieście. Ojciec lubił robić interesy i ciężko pracował, marzył, aby córkę wykształcić na adwokata. Oczywiście, jeżeli miałyby ku temu zdolności i chęci. Była jego oczkiem w głowie. W rodzinie Haliny, liberalnie nastawionej do życia, nie zna-

no żadnych nakazów. Późniejsza mecenas Górską wychowała się w ciepłym domu, kochana przez rodziców.

Matka Haliny była pianistką, ale nie dawała koncertów, bo uraz dłoni po wypadku nie pozwalał jej na to. Zajmowała się domem, mężem i małą Halinką. Tylko czasami zasiadała do dużego czarnego fortepianu stojącego na środku pokoju gościnnego.

– Zagraj coś dla naszej Halusi! – prosił ją czasem mąż. – Niech nasza córka posłucha pięknej muzyki Chopina.

Ojciec Haliny kochał żonę nad życie, a kiedy mała przyszła na świat, podarował jej brylantowy naszyjnik i kolczyki, który później Halina dostała w spadku.

Już jako świeżo upieczony magister prawa, z najlepszymi ocenami na dyplomie, na balu absolwentów poznała Tadeusza. Chociaż od roku spotykała się z interesującym młodym mężczyzną o nazwisku Baron, to jednak zakochała się w Tadeuszu prawie że od pierwszej chwili. Niestety Tadeusz sam nie wiedział wtedy, czego i kogo chce, więc spakował walizki i wyjechał do Ameryki dokończyć studia i zrobić dyplom.

W międzyczasie Halina, choć miała kilku partnerów, nie mogła zapomnieć o Tadeuszu. Kiedy wrócił z Ameryki i oświadczył się jej, od razu powiedziała „tak”. Wzięli ślub. Podczas nieobecności Teda Halina zdążyła już zapracować sobie na swoje nazwisko. Często przy trudnych sprawach sądowych widniało jej nazwisko, pisano o niej w gazetach. Była nie tylko ceniona, ale nawet zgromadziła spory kapitał, który mądrze ulokowała w banku.

Wspólnie z Tadeuszem postanowili zainwestować pieniądze, otwierając kancelarie adwokackie, które z czasem się rozrosły, zatrudniając do pomocy kolejnych zdolnych prawników. Ted miał głowę do interesów, więc biura prawne dobrze zarabiały. Nawał pracy nie dawał im zbyt wiele czasu

dla siebie, spotykali się najczęściej wieczorami w domu i właśnie któregoś takiego wieczoru Halina spostrzegła, że jest w ciąży. Radości w obu rodzinach nie było końca, choć Ted nie do końca podzielał ten entuzjazm – nie chciał mieć dzieci, potomka, który pochłonie cały jego cenny czas.

Państwo Górscy stali się ludźmi majątynymi, znanymi w kraju kre-zusami. Kupno pięknej willi na Mokotowie było błahostką, zakup sa-mochodów wysokiej klasy za gotówkę – jak wypicie szklanki wody. Stan konta ledwo drgnął. Do tego pani Góraska sprowadzała wykwiłntne me-ble z Włoch robione na zamówienie, które kosztowały fortunę. Wszyst-ko musiało mieć styl i metkę. Hobbystycznie Halina zajęła się kolekcjo-nowaniem malarstwa, kupując dzieła sztuki od francuskich handlarzy w Paryżu. Czasami nie wiadomo było do końca, czy to egzemplarze mu-zealne, czy malowane na kolanie, w każdym razie obrzydliwie drogie i wielkie jak wszystko inne dopasowane do grubego portfela państwa Górskich. Nie wspominając o licznej służbie, ogrodnikach, rejsach jach-tem po Wyspach Kanaryjskich, Bahamach, to oczywiście też nie grało roli w budżecie rodzinnym. W końcu, kiedy Halina była już w zaawan-sowanej ciąży, Górscy na dobre zakotwiczyli w swojej pięknej willi.

Po dziewięciu miesiącach na świat przyszedł chłopiec, któremu dali na imię Kazimierz. Pewnego dnia Halina zauważyła, że Tadeusz ją zdradza. Nie była to jedna zdrada albo dwie, ale notoryczne, codzienne umizgiwanie się do młodych dziewczyn, w dodatku w ich własnych biu-rach. Chodziły plotki i uśmiechy, że pan mecenas traci głowę dla dużo młodszych kobiet.

Nie było go w domu, nie było w pracy. Ted spędzał czas w hotelach z coraz to innymi dziewczynami, które po dwóch spotkaniach nie da-wały mu spokoju, chciały z nim być na zawsze, żądały rozwodu z Hali-ną, groziły skandalami.

Dla Haliny świat się zawalił. Została sama z Kazikiem i wódką. Zaczęła mieć problemy z alkoholem. Kancelarie oczywiście funkcjonowały, ale niewiele ją to obchodziło. Nie chciała stracić Teda. Kazała go śledzić, wynajmowała detektywów, którzy robili zdjęcia niewiernemu małżonkowi i dziewczynom podczas schadzek. Niektórym udało się nawet zrobić zdjęcia kochankom w pokojach hotelowych. Gdyby nie dziadek, ojciec Tadka, który odszedł z adwokatury, przeprowadził się na wieś, zabrał Kazika do siebie i zorganizował leczenie dla Haliny, nie wiadomo, jak dalej potoczyłyby się jej losy. Z pięknej, zdolnej kobiety stała się wrakiem człowieka, zatopionego w alkoholu i jednym pytaniem: Co teraz robi Ted? Po kilku pobytach w klinikach odwykowych udało się wyciągnąć Halinę z głębokiej depresji i uzależnienia. Stała na nogi, wróciła do pracy, ale Kazikiem zajmował się dziadek.

Stefan Górski był wszystkim dla Kazika. Ojcem i matką, mentorem i przyjacielem. Zostawił swoje zawodowe sprawy i poświęcił się wychowaniu wnuka, którego kochał jak syna. Czekał, aż Kazik dorośnie i wybierze własną drogę.

Na emeryturze Stefan osiedlił się na wsi, w dużym domu, który z biegiem lat rozbudowywał o kolejne skrzydła. Rozległy ogród otaczał dom ze wszystkich stron. Kolorowe kwiaty rozpychały się we wszystkie strony świata, a na zagonach świeże warzywa zapewniały jemu i Kazikowi całoroczny dostęp do zdrowego jedzenia. Jesienią Górski senior robił zapasy na zimę – zawekowane warzywa trzymał w chłodnej piwnicy. Cztery kare rumaki wychylały głowy ze stajni, a krowy, grube i łaciate, łążyły leniwie głównie dla świeżego mleka, śmietany i sera dla Kazika.

Kilka różnej rasy psów biegało wolno dookoła domu. Stefan był przyjacielem zwierząt i ludzi. Kochał naturę i swoje życie. Miał wszystko, czego chciał, a miał to dla jedyne go wnuka, na którego teraz czekał.

Rozdział 4

Kazik pędził po autostradzie na złamanie karku w otwartym sportowym samochodzie pachnącym jeszcze nowością. Lubił, kiedy wiatr pieścił mu włosy. Auto dostał od ojca w celu – jak ojciec dokładnie się wyraził, bo lubił być precyzyjny – zapomnienia o wszystkich niepokojących sytuacjach z przeszłości. Zatem, czy samochód był prezentem, to już inna sprawa. Ted nie był rozrzutnym facetem, ale żeby zapomnieć dawne życiowe błędy i niedociągnięcia rodzicielskie, zafundował synowi samochód. Nową alfę romeo, czerwoną, z czarnym opuszczanym dachem.

Samochód przypadł Kazikowi do gustu. Szybki i zwinny jak pante-
ra pasował do młodego chłopaka. Siedział teraz wygodnie za kierowni-
cą, naciskając na gaz i wymijając wszystkich kierowców po drodze. Pod-
kręcił prawie do maksimum głos w jednej z popularnych stacji radia,
słuchając przeboju The Rolling Stones „I Can't Get no (Satisfaktion).
I can't get no satisfaction, 'Couse I try and I tray and I tray...”. Śpiewał
razem z zespołem, wrzeszcząc, aż ochrypl. To była jego ulubiona gru-
pa. Czuł się szczęśliwy, spełniony, z optymizmem patrzył w przyszłość.
Kiedy ścisnął matkę na pożegnanie, obiecała mu, że skończy z alkoholem,
że nie weźmie nawet kropli do ust, nawet gdyby wlewano jej go na
siłę do gardła.

– Nie wiem, co w tym świństwie smakowało mi przez całe życie. Nie będę zwałac wina na ojca, że to on był powodem mojego alkoholizmu, to ja byłam nierozsądna przez tyle lat – żaliła się Halina. – Obiecuję ci, Kaziczku, koniec z tym, zobaczysz, przysięgam!

Przytuliła go na koniec, prosząc jedynie o telefon, kiedy już zajędzie na miejsce. Kazik odwzajemnił uścisk ze łzami w oczach.

– Wierzę ci, mamó. Wiem, że tak będzie. Kocham cię! – przylgnął do niej, wstydzając się swoich łez.

Kochał matkę z całego serca, chociaż tak rzadko mieli ze sobą kontakt. Mimo to zawsze nosił ją w sercu, głęboko.

Ojciec, odprowadzając go do wyjścia, wręczył mu kluczyki i kopertę z papierami samochodu.

– Wiem, że nie jestem w porządku wobec matki i ciebie... Nie myśl o mnie źle, synu, to już przeszłość. Obiecuję poprawę, przyjmij to od nas. Wiem, że lubisz sportowe samochody, ale uważaj na siebie, chłopie! – mówiąc to, poklepał go po plecach. – Nie wciskaj gazu do dechy. Przysięgnij mi to, synu! – Ojciec otarł chusteczką oczy, udając że wyciera jakiś paproch, który wpadł mu właśnie do oka.

Kazik zjechał z autostrady w prawo, a zaraz potem na gruntową, wiejską drogę. Po jej obu stronach piętrzyły się wysokie topole, które spotykały się czubkami jak w objęciu, tworząc tunel, który dawał przyjemny cień spierzchniętej od słońca ziemi. Uwielbiał wieś, zwierzęta, naturę, tam zawsze odzyskiwał spokój duszy.

Wysokie żyto tańczyło wytwornie na swych długich łodygach jak najlepsze baletnice. Duże ziarna zboża pęczniały na czubkach łodyg niczym korony.

Przyroda działała na niego jak balsam na wszelkie niepokoje. Czuł się wolny, niezależny, szczególnie teraz, kiedy miał już skończone stu-

dia, zawód w rękę i oczywiście nowy plan na przyszłość. Szczególnie ten ostatni dodawał mu skrzydeł.

Po chwili widział już gęsty las i trochę dalej dom dziadka z czerwonym dachem. Zatrzymał samochód. Jak na komendę wszystkie psy podbiegły przywitać się, niektóre wskakiwały na siedzenia w samochodzie, wesoło merdając ogonami. Chciały, aby je pogłaskał, znały przecież Kazika i uwielbiały go. Często zabierał je na długie spacery albo wskakiwał z nimi do pobliskiej rzeki. Zawsze miał dla nich smaczną niespodziankę, a one wiedziały dokładnie gdzie. Wszystkie naraz wsadzały nosy do czarnej, skórzanej studenckiej torby, w której zwykle trzymał książki do nauki, a w plastikowej torebce na dnie leżały smakołyki właśnie dla nich.

– Dzień dobry, dzień dobry! – Stefan Górski stał w drzwiach i machał do Kazika ręką. – Jak podróż, widzę, że tym razem przybyłeś pięknym samochodem! No, no, sportowy, czerwony i kabriolet, to dopiero zabawka! – podśmiechiwał się starszy pan. Ubrany był w białą, lnianą koszulę wiszącą nad sportowymi bermudami z wieloma kieszonkami na suwaki i guziki. Stefanowi przybyło lat, dobrze posiwał, zapuścił brodę i wąsy, wyglądał jak grecki filozof, ale taki nowoczesny, ze szwedzkimi drewniakami na stopach. Lubił majsterkować i na pewno każda z kieszonek w spodniach kryła przydatne narzędzia oraz dwa telefony. Dziadek, kiedy porzucił zawód prawnika i poświęcił się wychowaniu Kazika, lubił dbać o dom i zwierzaki, sadił warzywa, kwiaty, a w ostatnich latach nawet drzewka owocowe. Nie traktował krów i koni jako zwierzęta na ubój, miał je do towarzystwa, dbał o nie, nazywał je po imieniu. Lola, Miśka, gruba Klementyna... Stefan wiódł na wsi spokojny życie. Nie lubił miasta, tłumów ludzi, korków na ulicach, gwaru, kochał ciszę, swoje zwierzęta i oczywiście ubóstwiał Kazika.

Po smacznej kolacji, na którą składały się suszone mięsa i wędzone kiełbasy, broń Boże z własnej zwierzyny, oraz świeżo upieczony chrupiący chleb ze szklanką śmietany, udali się na odpoczynek. Starszy pan rzucił się na własnoręcznie zbite łóżko, a Kazik udał się na górę, gdzie całe piętro było do jego dyspozycji. Nie mógł zasnąć, czuł się zmęczony podróżą, obfitym poczęstunkiem, trochę myślami o jutrzejszym dniu, który miał być początkiem czegoś nowego. Postanowił zadzwonić do matki.

– Słucham, mecenas Górska? – Usłyszał spokojny, trochę senny, kobiecy głos.

– To ja, mamó, wszystko w porządku, dojechałem szczęśliwie, jesteśmy po kolacji, dziadek chyba już śpi na dole, ja też za chwilę się położę. Jutro mam do załatwienia coś dla mnie bardzo ważnego...

– A co to za ważna sprawa? – Matka ożywiła się wyraźnie. – Powiedz, bo nie będę mogła zasnąć – nalegała.

– Nie, mamó, musisz poczekać do jutra. Tylko do jutra!

– Ależ Kaziczku, uchyl chociaż rąbka tajemnicy! – nalegała.

– Mamó, zadzwonię jutro przed południem, a teraz dobranoc, już późno, położ się i odpoczywaj! – powiedział spokojnym głosem.

– Oj, to szkoda, ale cóż, muszę wytrzymać do jutra. Dobranoc, kochanie!

– Dobranoc, mamó, śpij dobrze! – Nacisnął na czerwony guzik i zakończył rozmowę.

Rozdział 5

Obudził się wcześniej rano. Właściwie to najpierw nie mógł zasnąć przez prawie całą noc, a potem wiercił się i kręcił na łóżku, budząc się w nocy po kilka razy.

Nagle słońce wpadło przez niedomkniętą okiennicę, tworząc jasną smugę światła, w której unosił się wirujący po pokoju kurz. Poczuł świeże, poranne powietrze, jakie jest tylko na wsi. Mucha brzęczała uporczywie i irytująco, uderzając o szybę, próbując wydostać się na zewnątrz. Wszystkie jej wysiłki szły na marne, nie mogła znaleźć szparki uchylonego okna. Za to duży pająk na długich czarnych nogach chodził po dopiero co uwitej pajęczynie i ze smakiem spoglądał na muchę.

Kazik przeciągnął się, spojrzął na zegarek leżący na szafce przy łóżku. Dochodziła szósta. Na dziedzińcu słychać było głosy mężczyzn, którzy pomagali dziadkowi przy zwierzętach. Wypuszczali je teraz na przyległą łąkę, w oborach było dla nich za gorąco. Krowy maszerowały jedna za drugą, leniwe i posłuszne, bujając na boki wielkimi brzuchami, nie przepychając się, mucząc przy tym i przeżuując jeszcze mokrą od rosy trawę. Konie wychodziły spokojnie, tu i tam wążając siano wystające ze stodoły wypełnionej po brzegi ich pachnącym suchym prowarem. Kury biegały im między nogami, podfruwając co chwila prze-

straszone. Jedyne w tej grupie kogut chodził wyprostowany i pilnował towarzystwa, stawiając się do wszystkich odważnie i bojowo.

Kazik spojrział przez niedomknięte okno, różowe malwy bujały się powolnie na ciepłym wiateryku, jedna obok drugiej, tworząc bukiet letnich kwiatów. Nawet się nie spostrzegł, a psy już wskakiwały na Kazikowe łóżko, liżąc go po policzkach i popychając nosem, jakby mówiły „już czas wstawać”.

Chłopak usiadł na łóżku i rozejrzał się po pokoju. Nic się nie zmieniło na „jego piętrze”, od kiedy był małym chłopcem. Pomieszczenie przypominało gabinet z prawniczymi książkami leżącymi na biurku i komputerem. Miało też część wypoczynkową z sofą na kilka osób, w kształcie litery „L”, stołem, na który popularnie mówiono ława, oraz część sypialną z łóżkiem i trzydrzwiową szafą. Wszystkie meble przed laty zrobił dziadek wciąż bardzo zadowolony ze swojego dzieła.

Kolorowe dywaniki pokrywały drewnianą podłogę z długich desek. Okoliczne kobiety przędły je zimową porą, kiedy nie było pracy w polu czy przy żniwach, a potem sprzedawały.

Kazik wstał, wziął prysznic w niewielkiej łazience wykafelkowanej kolorowymi kwiatkami na białym tle. Odświeżony po kąpieli zszedł na dół. Zaparzył sobie kawę, ale na śniadanie nie miał apetytu, prawdopodobnie dlatego, że kolacja była nadto obfita i tłusta.

Dziadek wszedł do kuchni, niosąc na ramieniu kilka szczap drewna.

– Dzień dobry, Kaziu, dobrze ci się spało? – zapytał, wrzucając drewno do pieca.

– Dzień dobry, gdzie tam, marnie, komary warczały mi pod nosem! – odpowiedział szybko Kazik, popijając kawę.

– Czy na pewno komary, a może rozmyślałeś za dużo? – dociekał dziadek.

Kazik spojrział na niego badawczo i podejrzliwie, a następnie na zegarek.

– Muszę już iść, dziadku, mam coś do załatwienia... To niespodzianka, ale nie chcę o tym mówić teraz... Później! – powiedział jakby od niechcenia.

– Ja też mam niespodziankę... ale nie chcę mówić teraz... Później! – odpowiedział dziadek, nie patrząc na Kazika, grzebiąc długim metalowym prętem w otwartych drzwiczkach pieca.

Chwilę potem Kazik siedział na rowerze i pedałowal jak szalony w kierunku ogrodzonego metalową siatką placu. Zeskakując, rzucił rower byle jak na ziemię. Nad wysokimi drzwiami hangaru, zbitymi z desek i metalu, widniał szyld z napisem: Klub Lotniczy „Orzeł”. Ile to razy go widział, przejeżdżając w pobliżu, ile to razy patrzył na młodych chłopaków startujących w swych maszynach. Marzył, że jest jednym z nich, że to ON siedzi za sterami, że ta wspaniała maszyna jest jego.

*

– Nazywam się Zygmunt Kowalski! – przedstawił się mężczyzna, który podszedł do Kazika z wyciągniętą ręką. – Jestem instruktorem lotów. Krótko mówiąc – uczę teorii i pilotażu. Będę pana nauczycielem.

– Jestem Kazimierz Górski! – Nieco pobladły i trochę przestraszony również wyciągnął rękę na powitanie.

Kowalski pokiwał głową, jakby spodziewał się tego, że Kazik kiedyś zostanie jego uczniem. W końcu widział go wiele razy pedałowującego na rowerze, a później, przy hangarze, unoszącego głowę i podziwiającego samoloty. Kowalski znał wszystkich w okolicy, także Stefana Górskiego, z którym często spotykał się na pogawędki.

– A to są nasi uczniowie, pan pozwoli, że zaprezentuję: Marek Kosiński, Adam Leski, Jan Nowak. Niestety w tej grupie nie mamy pań. Mam nadzieję, że przy kolejnym naborze pojawi się jakaś chętna entuzjastka lotów. A teraz, nie tracąc czasu, przejdźmy do maszyn!

Instruktor wskazywał palcem, a jego głos niósł się echem w wysokim hangarze. Trzy kolorowe, świeżo wymalowane samoloty stały w rzędzie, a na końcu – jeden, biały.

– Proszę panów – ciągnął instruktor – pierwsze trzy to popularne Cessny 152, które nauczą panów startu, lądowania, zachowania się w ruchu powietrznym, porozumiewania się przez radio z wieżą itd., a poza tym dysponują tym, o czym każdy pilot powinien wiedzieć na początku swojej przygody z lataniem.

Kowalski szedł pierwszy, objaśniając szczegóły każdej z trzech maszyn. Uczniowie zadzierali głowy, śledząc jego gesty i zapamiętując słowa.

– Te trzy samoloty są własnością klubu, oczywiście można je wypożyczyć, natomiast czwarty, ostatni, biały aircraft, należy do naszego studenta, pana Kazimiera Górskiego. – Kowalski spojrział na Kazika, a ten był bliski omdlenia.

– To jest jeden z najlepszych samolotów jednosilnikowych dla czterech pasażerów, rodzaj Cessny 172 Skyhawk, dobry samolot treningowy, ale oczywiście może też służyć jako prywatna maszyna, ale to już później, po naukach! – Kowalski uśmiechnął się pod nosem.

Kazik stał, dalej nie mogąc wydobyć z siebie ani jednego słowa. Wydawało mu się, że śni.

– Piękna maszyna... To naprawdę twój własny? – Młody chłopak podszedł do Kazika. – Nazywam się Jan Nowak. Gratuluję! – Jan wyciągnął rękę do Kazika. – Mów mi Jasiu.

– Jestem Kazimierz. Kazik Górski. Ktoś sprawił mi niespodziankę! – powiedział lekko zażenowany.

– Cholera, też chciałbym dostawać takie niespodzianki. Samolot w prezencie. Hm, to raczej nie należy do codzienności. Kiedyś dostałem rozpadający się samochód i zardzewiały rower... Ale samolot!?

Przystojny, wysoki, młody chłopak o niebieskich dużych oczach stał naprzeciwko Kazika i uśmiechał się od ucha do ucha, pokazując równe, białe zęby. Sprawiał miłe wrażenie. Nie było w jego słowach ani zazdrości, ani ironii, po prostu nie mógł się nadziwić. Po chwili odszedł pośpiesznie w kierunku grupy studentów słuchających objaśnień Kowalskiego.

– Panowie! – kontynuował instruktor. – Czeka was porządna praca, dziewięćdziesiąt godzin teorii, ponad czterdzieści godzin lotów, żeby dostać licencję pilota turystycznego, a to dopiero początek, bo aby dostać licencję pilota w liniach pasażerskich, trzeba mieć ponad sześćset godzin teorii! – Tu Kowalski zawiesił głos i spojrział na wsłuchanych w niego przyszłych pilotów. – No i dobrze ponad tysiąc przelatanych godzin w załodze wieloosobowej – dokończył, kiwając głową. – Cierpliwość, panowie, rozwaga, głębokie przyswojenie każdego tematu, dokładność... Tu nie ma przeskakiwania po kilka kartek do przodu, tu jest ważne każde słowo, każde zdanie. Chodzi o wasze życie i życie pasażerów. Tu nie ma lipy.

Kazik stał obok samolotu, dotykał go, przeciągnął ręką po skrzydle, poczuł pod dłonią chłód metalu. W końcu otworzył drzwiczki, usiadł za sterami i... uszczypnął się w rękę. – To prawdziwy samolot, a ja nie śnię! Co, u diabła, dlaczego nikt mi nie powiedział, czy to właśnie ta niespodzianka, o której dziadek wspomniał rano? – zastanawiał się.

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk telefonu.

– Słucham! – Kazik szybko wyciągnął aparat z tylnej kieszonki w džinsach.

– Dzień dobry, Kaziczku, no i jak, podoba ci się?! Ten sam biały, który sklejałeś, jak byłeś mały, pamiętasz? – Usłyszał znajomy głos. – Nie wiem, czy jest jeszcze klej w złączeniach... – Halina śmiała się w słuchawce.

– Mama? To od ciebie? Ten sam, to mój biały orzeł, mamoo... Na nim będę latał. Nie wiem, jak ci mam dziękować. Naprawdę brak mi słów! Ale skąd wiedziałaś?

– To od nas, synku, przy okazji podziękuj dziadkowi i ojcu. Życzymy ci szerokich korytarzy, ale obiecaj, że będziesz rozważny, nie szalej, przestrzegaj wszystkich reguł, bardzo cię proszę! – dorzuciła lekko drżącym głosem.

– Nigdy cię nie zawiodę, mamoo. Dziękuję! – powiedział wzruszony.

– Wiem o tym, Kaziczku, do zobaczenia! – pożegnała się matka.

Kazik schował telefon do kieszeni. Poczul, że łzy płyną mu po policzkach, otarł je szybko, wstydził się, że ktoś mógłby je zobaczyć. Nagle śmigło zakręciło się kilka razy, ktoś zapukał w blachę.

– Kazik, jedziesz do domu? Zamykają, koniec lekcji na dzisiaj!

Obok skrzydła stał uśmiechnięty Jasiek.